

JAK

GDYBY NIECO WBREW narzekaniom, iż życie kulturalne zamiera w dobie kryzysu, w Warszawie dzieje się ostatnio w tej dziedzinie tak wiele, że Kurier przestaje nadążać za artystycznymi wydarzeniami; powinien, być może, ukazywać się częściej niż raz na miesiąc, dopiero wtedy warszawska panorama byłaby pełniejsza, no i aktualniejsza. Myślę, oczywiście, o ewentualnym przejściu po prostu na dwutygodniowy cykl wydawniczy, a nie o jakichś „nadzwyczajnych wydaniach”, bo chociaż zdarzeń zasługujących na odnotowanie jest rzeczywiście sporo, to jednak wydarzeń, które usprawiedliwiałyby nadzwyczajne dodatki, praktycznie biorąc — nie ma. Jeśli można by coś w ostatnim czasie wydarzeniem nazwać, to chyba tylko premierę „Nie-Boskiej komedii” u Macieja Prusa; odbyła się bodaj jeszcze w styczniu, piszę więc o niej ze znacznym opóźnieniem, tak się jednak złożyło, że nie mogłem być na pierwszych przedstawieniach, a teraz grywana jest rzadko i trzeba wykazać się niezłym refleksem, aby między spektaklami „Metra” przyjętymi przez Teatr Dramatyczny w gościnę trafić na Krasińskiego.

Przyjmując w tym sezonie dyrekcję artystyczną Dramatycznego, Maciej Prus wziął sobie na głowę przepiękny kłopot. Po pierwsze — przejął zespół zniszczony jeszcze decyzjami stanu wojennego, po drugie — wszedł w konflikt z amatorami kupna i sprywatyzowania całego obiektu. To, że w takiej sytuacji i takiej atmosferze otaczającej jego teatr potrafi działać — i to tak efektywnie! — zastuguje na duże uznanie, zwłaszcza że drogą idzie nie najłatwiejszą „Nie-Boska”? Wielka dramaturgia romantyczna — kogo to dziś obchodzi?... Powinno obchodzić. Na przedstawieniu, na jakim byłem — jeszcze przecież niezbyt odległym od premiery — widownia wypełniona była do ostatniego miejsca, lecz wyłącznie przez szkoły; wiadomo — Krasiński, to przecież lektura obowiązkowa. Z jednej strony — to dobrze, że młodzież uczy się na najlepszych wzorach, z drugiej — czy naprawdę tak niewiele jest w Warszawie dorosłych, którzy również chcieliby obejrzeć i przeżyć na nowo jedno z największych arcydzieł naszej literatury? Trochę wstyd.

i ważny spektakl, którym Prus interesująco rozpoczął swą warszawską kadencję dyrektorską. Podobnie — na małej scenie Dramatycznego, nazwanej teraz Salą im. Haliny Mikołajskiej. Przez wiele lat ta znakomita aktorka należała do zespołu tego teatru; w roku 1957 stworzyła tu m. in. wielką kreację w „Krzestach” Ibsena, toteż na otwarcie sali jej imienia przygotowano właśnie nową inscenizację tej sztuki. Wreżyserował ją Szczepan Szczykno, a wspaniale zagraли tym razem Zofia Kucówna i Henryk Bista. Sama sztuka, naturalnie, nie wywiera już takiego wrażenia jak niegdys, w pierwszych latach popাড়ziernikowej odwilży, inaczej też jest już odbierana — nie jako metafora, lecz po prostu jako tragedia ludzi starych, samotnych, bezwolnych, beźradnie marzących o zmianie ponurej egzystencji. Niezmiennie jednak daje świetne pole do aktorskiego popisu, i tak też — korzystając z wybornej obsady — potraktowano ją w Dramatycznym.

Zważywszy, iż kolejną premierą u Prusa była adaptacja Prousta (niestety, Ewa Isajewicz-Telega już po premierze złamała nogę i spektakl na razie grany jest w obsadzie zastępczej), nie można powiedzieć, by w Dramatycznym dominował repertuar rozrywkowy. Takiego natomiast, ale w możliwie najlepszym gatunku, oczekuje zagraniczna Polonia. Co za-

KURIER WARSZAWSKI

Odrabiam zaległości: „Nie-Boska” u Prusa • „Krzesta” w Sali im. Haliny Mikołajskiej • Ekspertowe spektakle także do obejrzenia w kraju • Pinter jako autor zgrabnych sztuk bujarowych • Andrzej Straszynski — artystycznym dyrektorem TW; podziwiam, ale

Wiśniewska w roli Podstoliny i Dorota Nowakowska jako Klara.

Pędzi ta „Zemsta” zwawo, wesolo, a jednocześnie z troską, by cudowny wiersz Fredrowski podany został słuchaczom tak, jak na to zasługuje. Toteż, choć nie jest to spektakl odkrywczy, to przecież orlańda się go z nieklamana przyjemnością; ci Kanadyjczycy, to mają dobrze, jeśli przysyła im się z kraju takie cacka.

A my w Warszawie? Też nie narzekamy. Poza wielkim repertuarem: Krasińskim u Prusa, Szekspirem u Macieja Englerta, Dostojewskim u Grzesińskiego czy Tolstojem u Grzegorzewskiego, mamy również odróbinę dobrego teatru bujarowego: dwie krótkie, zgrabne sztuki Harolda Pintera. W Prezentacjach u Romualda Szejdy przypominają grana już w Warszawie przed tużinami lat „Zdradę”. Niby nie, a jednak coś — trójkąt małżeński, w którym wszyscy właściwie zdradzają się rniej lub bardziej otwarcie, i wszyscy w gruncie rzeczy pozostają samotni, nawzajem sobie obcy. Opowiada to Pinter w karkołomny sposób: od końca do początku, a i to nie zawsze w zgodzie z chronologią, w rezultacie jednak dobrzy aktorzy potrafią ułożyć z krótkich, niemal białkautowych scen logiczną, spójną całość. W sprawnej reżyserii Szejdy błyszczy przede wszystkim Joanna Szczepkowska, w świetnym towarzystwie Jana Englerta i Mariusza Benoit.

W Teatrze Za Dalekim natomiast (który istotnie jest trochę za daleko, by przyciągać tłumy publiczności) — Pinterowski „Kochanek”. Znow w krótkich scenkach orlańdany skomplikowaną grę pozorów i mistyfikacji, rozpisaną na dwoje aktorów. Reżyserował spektakl Szczepan Szczykno; a efektywną grą zademonstrowała Anna Majcher („Mów mi Rockefeller”) i Marek Kondrat („W labiryncie”). — sympatyczny wieczór, zapewniający relaks w miłym towarzystwie bardzo lubianych aktorów...

O te sympatyczne wieczory trudniej natomiast w warszawskim Teatrze Wielkim nie udało się premiera „Capuletti i Montecchi” Bełłiniego, głównie z powodu szarpanej reżyserii i bardzo nierównej obsady, w której jedynie Zdzisława Jani (Julia) i Maria Glinka (Gloria) zaprezentowały poziom godny Teatru Wielkiego, średnio wypadła także premiera „Jawnuty” Moniuszki, przygotowana na scenie kameralnej przez nieustraszoną Marię Kołtyn. Po prostu sama opera nie jest dość atrak-

Przed czterech wiekami Maciej Prus, asystentem Konrada Swinarskiego, gdy ten w krakowskim Starym Teatrze realizował swą niezapomnianą, barokową wizję „Nie-Boskiej komedii”, teraz — samemu przystępując do jej inscenizacji — obrał klucz całkowicie odmienny, bardziej zgodny z duchem naszego czasu i współczesną nam estetyką. Jego spektakl wykrywany jest w scenografii pozabawowej jakichkolwiek sprzętów i rekwizytów, maksymalnie ascetycznej; w czarnym okolorowaniu, z kostiumami — z nielicznymi wyjątkami — w tonacji biało-czarnej. A przecież jest to jednocześnie sceneria fascynującej urody i maksymalnej funkcjonalności; zastosowanie sceny obrotowej, wspaniałe operowanie światłami — wszystko to jest nie tylko piękne wizualnie, lecz także doskonale wspomaga przekazywanie tekstu, niczym nie rozpraszać uwagi widza, w rezultacie przedstawienie jest więc nad wyraz klarowne, konsekwentne i chociaż długie i trudne w odbiorze, to przecież nie nuży, jak większość, niestety, inscenizacji „Nie-Boskiej”.

Odrzucając powszechną w okresie powojennym koncepcję „Nie-Boskiej” jako dramatu o rewolucji społecznej i zmierzchu arystokracji, Prus na plan pierwszy wy dobył sens egzystencjalny utworu, a rozpoczynając spektakl — bodaj jako pierwszy z inscenizatorów — „Niedokończonym poematem”, słusznie uważanym za introdukcję do „Nie-Boskiej”, nawiązał — zgodnie z intencjami Krasińskiego — do dzieła Dantego, tłumacząc tym samym tytuł, jaki Krasiński nadał swemu utworowi. Bezsens ludzkiej egzystencji zagubionej w meandrach współczesnego piekła... taki klimat niewesoły, rzecz jasna, posiada inscenizacja Prusa. A rewolucja? Oczywiście, jest również, lecz tylko jako jeden z elementów grezy rozdartego, pogrążonego w konfliktach dzisiejszego świata.

Prus wyniszczony zespół Dramatycznego wzmocnił nieco, przywołując ze sobą z Łodzi Ewę Isajewicz-Telegę i Dariusza Siatkowskiego; oboje — w rolach Dziewicy i Pankracego — są mocnymi punktami obsady, przede wszystkim jednak prowadzi spektakl Henryk Machalica jako Aligier, a Mariusz Bonaszewski (Hrabia Henryk) i Jarosław Gajewski (w rozbudowanej roli Szatana) również dobrze zapisują się w pamięci widzów. To świetny

nie zazdrościć! ● Wydarzenie muzyczne: Requiem Dworzaka.

tem ogląda? Pisałem, przed roktem. Badażcie, o Andrzeju Kolaczyńskim, impresariu z Kałady, który stał się producentem naszego teatru na eksport, i oto możemy teraz w Warszawie oglądać dwa spektakle powstałe z jego inicjatywy i prezentowane już — z wielkim powodzeniem — za granicą. Pierwszy z nich, to „Pan Tadeusz” adaptowany przez Janę Englerta na kameralny, pięcioosobowy zespół i przez niego reżyserowany. Englert, z konieczności zmuszony do sporego okrojenia dwunastu ksiąg poetyckiej epopei Mickiewicza, wyeksponował przede wszystkim wątek romansowy: Tadeusz — Telimena — Zosia, aczkolwiek żadnej z najpiękniejszych strof tutaj nie zabrakło, a wszystkie podano z wdziękiem, z sercem, i... z doskonałą dykcją. Nie są to jednak recytacje, jak niegdyś w Teatrze Rapsodycznym Kotlarczyka; Englert buduje zabawne sytuacje sceniczne, niekiedy dzieli tekst na dialogi, a pomysłowo zaprogramowany teatr z „Pana Tadeusza” rozgrywa wraz z Anną Dymną, Katarzyną Figurą, Mariuszem Benoit i Krzysztofem Kolbergem.

„Pana Tadeusza” gościł Teatr Północny Marka Grzesińskiego — i chwala mu za to, bo jest to przedstawienie tak pełne uroku, że każdy powinien je obejrzeć; niestety, mogą z tym być kłopoty, bo zapracowanych w innych teatrach — także i zamiejscowych — pięćdziesięciu aktorów trudno jest zebrać razem, więc spektakl grywany bywa rzadko. Tym jednak, którzy nie dotrą na „Pana Tadeusza”, polecam drugie przedstawienie przygotowane na zamówienie Kolaczyńskiego, a teraz wystawiane w Ateneum: „Zemsta” Fredry w reżyserii Gustawa Holoubka i z nim samym w roli Rejenta. Jest to wprawdzie „Zemsta” nieco inna od oglądanej w Kanadzie czy USA, opiera się bowiem wyłącznie na aktorach Ateneum, lecz trzon obsady pozostał bez zmian, a więc przede wszystkim Marian Kociniak w roli Cześnika, Wiktor Zborowski jako Papkin, Marian Opania — Dyndalski, Jacek Borkowski — Waślaw. Obok nich — dwie pełne wdzięku i szarmu aktorki: Ewa

ale — może to i dobrze, że jednak ją odkurzone i zdecydowanie pokazac jako ciekawostkę — Moniuszkę powinniśmy u nas znać jak najdokładniej, zatem nawet z utworów mniej udanych. Dopiero kolejna premiera w TW: „Cyganeria” przyniosła melomanom pełnię satysfakcji. Zachwycała scenografia Andrzeja Majewskiego, nie przeszkadzała reżyseria Alberta André Lheureux, gorąco oślaskiwano dwoje czolowych solistów: znakomitą Izabellę Kłosińską w partii Mimi i obdarzonego świetnym głosem Bulgara, Katudiego Katudowa.

Muzycznie, zarówno operę Belliniego, jak i „Cyganerię” przygotował Andrzej Straszynski — nowy dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego. Sądząc po muzycznej stronie obu przedstawień, po wyrównanym, ładnym (badaż tylko chwilami nieco za głośnym) brzmieniu orkiestry, Straszynski jest dla naszej pierwszej sceny operowej bardzo cennym nabytkiem — melomanom warszawskim można jego nominację pogratulować, czy jednak jest czego gratulować samemu Straszynskiemu? Czy poradzi sobie z trudnym, konfliktowym zespołem? Czy dojdzie do pełnego porozumienia z nowym dyrektorem naczelnym, który ma zostać wybrany drogą konkursu? Odpowiedź czas, a mnie wypada powitać Andrzeja Straszynskiego na nowym stanowisku starym powiedzonkiem: podziwiam, ale nie zazdrościć!

Zazdrościć mogą natomiast mnie ci, którzy nie słyszeli koncertu oratoryjnego w Filharmonii Narodowej, jaki w tygodniu świątecznym poprowadził Kazimierz Kord: Requiem Antoniego Dworzaka — rzadko płynącą przez nasze estrady potężną falą wspaniałej, pięknej muzyki usłyszeliśmy bowiem w prawdziwie mistrzowskim, cudownym wykonaniu. Pod ręką Korda zespoły orkiestry i chóru FN wzniosły się na szczyty swych wielkich możliwości, uskrzydłone też zapewne imponującym zestawem solistów: nasza najznakomitsza śpiewaczka ostatniej dekady, Stefania Toczyska; świetna, jak najbardziej zasługująca na międzynarodową karierę Izabella Kłosińska; dobrze już w Polsce znany, wybitny tenor grecki Zachos Terzakis; najbardziej utalentowany bas polski młodego pokolenia, Piotr Nowacki — oto zestaw, jaki wywołałby entuzjazm na każdej z wielkich estrad. Toteż owacja w Filharmonii Narodowej była również na miarę wielkiego świata; Kazimierz Kord i cały ogromny aparat wykonawczy dobrze sobie na nią zasłużył. Dołączam się do tych braw!